

## Ten Sienkiewicz bardziej trzeźwi niż krzepi

Czy historia melodramatycznego trójkąta miłosnego była tylko narracyjnym wabikiem Sienkiewicza, by w finale pokazać czytelnikowi jedną, kluczową scenę? Zwycięską bitwę z roku 1410, ku pokrzepieniu. To śmiała teza, choć z perspektywy ponad stu lat od powstania powieści, nie pozbawiona zasadności, że to właśnie słynny obraz bitwy utrzymuje „Krzyżaków” na patriotycznej liście lektur. Przecież wystarczy dziś wypowiedzieć sam tytuł, a nieomal automatycznie w komplecie z powieścią pojawia się nam bitwa pod Grunwaldem. Choć teraz w większości przypadków, wcale nie będzie to ta, namalowana przez Jana Matejkę, która niewątpliwie zainspirowała autora, by stworzyć opowieść osadzoną w wiekach średnich, w momencie triumfu polskiego oręża. Bardziej będzie to kilkunastominutowa sekwencja batalistyczna, spektakularnie sfilmowana przez Aleksandra Forda ponad pięćdziesiąt lat temu. I nie ma tu znaczenia, które artystyczne wyobrażenie tej bitwy odtworzymy sobie w głowie, któreś na pewno się pojawi, a równocześnie z nim ożywi się bezwiednie, nieomal mityczne przekonanie lub choćby jego cień, że znienawidzonego wroga prędzej, czy później spotkamy na polu bitwy i jest to bitwa wygrana, jak tamta sprzed setek lat. Zatem można zaryzykować stwierdzenie, że bez przywołania tej spektakularnej potyczki, bez bitwy pod Grunwaldem, „Krzyżacy” trochę tracą swój krzepiący charakter i z pewnością tracą też wysoką pozycję na patriotycznej liście lektur. W takim razie lepiej jej nie pomijać. A może właśnie tak trzeba, by przeświecić, jak wygląda ten mit, ale noszony w nas.

W toruńskiej realizacji „Krzyżaków” Michała Kotańskiego bitwy nie ma. Co wcale nie znaczy, że nie pojawia się w śladach i cieniach i nie tylko ta, średniowieczna i nie tylko ta, zwycięska. Zresztą cały spektakl przetykany jest patriotycznymi znakami i odniesieniami, które źródła swoje mają w niejednej bitewnej ranie narodu. Bo to, nie praca i tworzenie na rzecz wspólnoty stanowi o bohaterstwie, ale wojna. To jej przywoływanie jednoczy i budzi marzenia o chwale. Od pierwszej sceny, pijany Zbyszko modli się do dobrego Boga o wojnę, by mógł w konfrontacji, pod narodową banderą, załatwić swoją małą, prywatną sprawę. Odwet przebrany w uczucie miłości. Ale i ten afekt jest jedynie kolejną maską, wymówką, pretekstem i romantyczną pozą, by uszlachetnić wściekłość i frustrację prostego chłopaka z blokowiska. I tak patrzymy, jak własna zemsta jest w stanie poruszyć lawinę zdarzeń z wojennymi konsekwencjami dla całej społeczności. Wróg w „Krzyżakach” jest oczywisty, to Niemcy, bo któżby inny. W spektaklu postaci Krzyżaków noszą kostiumy stylizowane na hitlerowskie mundury od Hugo Bossa, zatem mogło by się wydawać, że kalkowanie wroga jest tu jednoznaczne i nie ma nic pomiędzy. Ale czy na pewno? Czy może wrogiem nie jest tu po prostu inny, elegancki, lepszy świat, który nie grzęźnie po łyki w błocie?

Choć spektakl niesie nas prosto do z pozoru znanego finału, to nie znajdujemy w nim ukojenia płynącego z apoteozy naszego zwycięstwa. Ostatnia scena z sygnałem przypominającym Godzinę „W”, brzmi jak memento, jak ostrzeżenie, byśmy jednak nie modlili się do dobrego Boga o wojnę. Jest jak uderzenie w policzek, na otrzeźwienie.

**Hanna Wittstock**  
**Gazeta Pomorska nr 91**  
**19.04.2016 r.**